

Koń by się uśmieł, czyli kariera telemarketera

Miałem zostać prężnym yuppie w start-upie, ale chimerycznej mojrze dałem się wziąć na hol i wylądowałem w call center wśród zgrai podobnych do mnie korpowyrzutków. Za współtowarzyszy miałem hołubioną przez zarząd ekscytrzystkę z Hłudna, hożą super-Orawiankę z Chyźnego i pół-Czuwasza z Zawołża, chlubiącego się serią reportaży o Amu-darii. Naszym mentorem był druh Borzygniew, Pomorzanie ze Skórcza, który trenował taekwondo w Pelplinie nad Wierzycą. Przeszkolono nas w obskurnym ośrodku nad zalewem Chańcza w Kieleckiem. Przekonywaliśmy klientów, że stroniąc od sprzedawanych przez nas wyciągów z żegawki, ożanki, rzewienia, ciemierzycy, burzanki, żeń-szenia, a także jagód goji i nasion koli, uprawiają hazard, który może kosztować ich życie. Tymczasem narażaliśmy swoje, żywiąc się głównie nachos i lay'sami przepijanymi sprite'em. Marzyliśmy o brunchach w Starbucksie i świeżo parzonej café au lait, odkładając ziszczenie tych arcymrzonek ad Kalendas Graecas. Można by założyć, że to nas opisał w „Zwale” Sławomir Shuty. Po ponaddwuipółletniej harówce za biedapensyjkę powiedziałem: adieu! i przyjąłem angaż w „Życiu Krakowa”, ulokowanym pół na pół w pałacu Pod Baranami i Domu Norymberskim. Moim przełożonym był zhardziały łże-weganin z Trzebini, który rokrocznie w święto Trzech Króli na bagrach Przyłasku Rusieckiego łowił płocie na mormyszkę, zwaną niby-kiełzem. Od razu zażądał, bym przepytał krakowian, jak chcieliby spożytkować budżet obywatelski. Każdy pisał, co mu się żywnie podobało, aż włos się jeżył na głowie, istny matriks. Internauta o nicku „Kustosz” zażyczył sobie, by na wpół wyburzony „Szkieletor” został wpisany na listę światowego dziedzictwa UNESCO. Jakaś „Rachel” proponowała, aby w Rydlówce urządzić salon masażu, a nieopodal – stację samobieżnych hulajnóg. Z kolei „Batman”, który zażarcie się zarzekał, że uratował z topieli rozżarzoną marzannę, postulował stworzenie na placu Inwalidów filii Muzeum Ofiar Przesądów i Zabobonu. Ktoś znowuż miał idée fixe, by do zoo ściągnąć yeti z Bhutanu, a Błonia krakowskie przekształcić w pole golfowe albo wznieść na nich wieżę Babel, identyczną jak na obrazie Bruegla. Byłoby tam centrum językowe z prawdziwego zdarzenia. Akcja nabrała takiego rozpędu, że gdym już współprzytomny, jakbym zażył co nieco absyntu z hyzopem, przechodził obok wieży ratuszowej, koń, czy raczej ochwacony muc, urwał się z zaprzęgu, zbliżył do mnie stępem, szarpnął chrapami za połę wiatrówki i rżąc, uświadomił mi expressis verbis, że on też płaci podatki, życzy więc sobie, by w miejscu zwanym Na Gołdzie, gdzie ongiś odbył się hołd pruski, urządzić parcours/parkur dla koni, znużonych bezprzykładnym stanem pod kościołem Mariackim. Zamiast się uszczypnąć, usiadłem pod słynnym „Zwisem” przy stoliku z haworcją, vis-à-vis pana Piotra. Na jego oldskulowym kapeluszu harcowały trzy strzyżyki woleoczka. Przyjmował to z kamienną twarzą, życzliwie się uśmiechając. Już chciałem się wyzalić, gdy - uwierzcież mi, słowo honoru! - usłyszałem z jego ust: c'est la vie. Tego chybaby nawet Pani Lola z monologów Maja nie wymyśliła.</p>